



Gabinet lorda Izoreta Dławisza
Królewski Zakon Czystej Ręki
Królestwo Elflandu

Drogi Przyjacielu!

Nie uwierzysz, kogo dzisiaj wystrzeliłem z balisty.

Starego Chwastka Kąkola – naszego „Chwasta” ze szkoły.

Koło południa wystrzeliliśmy go prosto w mroczne serce królestwa goblinów.

Zabawne, nie myślałem o Chwaście już od wieków. W szkole był z niego raczej nudziarz. Pamiętasz: pokurcz, drobny taki. Ręce wiotkie jak wodorosty. Twarz trochę jakby rybia. Beznadziejny w walce

na kopie. W polowaniu też do niczego. Wciąż go gryzły elfogary. Ciągłe wystraszony. Chodził, zwieszając głowę na tej swojej wątłej szyi, jakby ktoś miał mu zaraz przyłożyć. Zupełny wymoczek, do tego na nazwisko miał Kąkol, a to przecież chwast. Stąd, jak pamiętasz, mówiliśmy na niego po prostu „Chwast”. Nie myślałem o nim od trzydziestu lat.

Wyobraź sobie zatem moje osłupienie, kiedy jeden z królewskich ministrów oznajmił mi, że potrzebują historyka, który wyprawiłby się na goblina dwór Ghohga Nikczemnego. Dostałem listę osób do wyboru. A trzecie od góry było właśnie jego nazwisko: Brangwin Kąkol.

„Niech mnie! – zawołałem. – Toż to pocziwy Chwastek!”

Wezwałem go do pałacu na rozmowę. Uczy historii elfiej na uniwersytecie. „Witaj, Chwaście – rzekłem. – To ja, twój stary kumpel Dławisz. Obecnie członek Zakonu Czystej Ręki”.

Nawet sobie nie wyobrażasz, jak on się zmienił! Już nie człapie ze spuszczoną głową. Teraz chodzi wyprostowany jak struna. Ręce dalej ma nie za silne, ale nie jest już cherlakiem. Bardzo dumny. Bardzo sztywny. Chłopina chyba nie zdołałby się zgarbić, nawet gdyby chciał. Wspaniała przemiana. Byłem pod wielkim wrażeniem i wcale tego nie ukrywałem.

Przedstawiłem mu zatem misję: kiedy robiono wykop pod nowy brodzik dla króla, odkryto stary gobliniński skarb: olbrzymi klejnot, na którym wyryto jakąś opowieść. To typowa goblinińska historia z całym mnóstwem ściętych głów. Obrzydliwość. Ale rzecz jest stara, bardzo stara – może mieć z tysiąc lat. Król uznał, że można sprezentować ten klejnot królowi goblinów Ghohgowi Nikczemnemu jako symbol dobrej woli i wymiany kulturalnej, no wiesz, na znak, że

od czasu zawieszenia broni pięć lat temu stosunki elficko-goblińskie się poprawiły. Taki gest. Ręka wyciągnięta ponad Górami Kościokrutnymi.

Wszystko, byle tylko nie dopuścić, żeby znowu ruszyli na nas z mieczem i miotaczem ognia w dłoni, wylali się z tych gór bezimienną chmurą, palili nasze lasy i domy.

Od królewskiego zausznika usłyszałem, że ktoś musi dostarczyć ten klejnot do goblińskiej cytadeli. Jakiś historyk, ktoś, kto potrafiłby opowiedzieć o tym, jak stary i ważny jest ten skarb. Kto umiałby rozmawiać z tamtejszymi uczonymi. Rzekłem więc: „Zatem, Chwastku, czy zechciałbyś przysłużyć się swej ojczyźnie i wyprawić się w samo serce gobliniego królestwa, skąd nikt nie wrócił żywy od stu lat albo i dłużej? Jeśli tak, stary druhu, to podpisz się tutaj, gdzie jest X”.

Jak już pisałem, dumny z niego teraz jegomość, więc nie powiedział nawet „Tak jest”. Spojrzał na mnie tylko, zmarszczył czoło, podszedł do mojego biurka, wziął pióro i złożył podpis. Myślę, że poradzi sobie wyśmienicie.

Mam taką nadzieję. Przez cały wieczór, który spędziłem z żoną na Balu Dobroczynnym na rzecz Ranionych przez Gryfy, wyobrażałem sobie wymoczkowatego Chwasta, kiedy miał trzynaście lat – mięśni ani śladu, kulił się, zanim go jeszcze kto uderzył, robił wielkie oczy i cały drżał, kiedy tylko ktoś na niego spojrzał – a potem myślałem o królestwie goblinów. Góry jak połamane zęby. Wszędzie potwory i goblińscy barbarzyńcy. Cuchnące rowy. Miasta jak rzeźnie. Rzeki spływające krwią. Obiecałem, że spróbujemy go uratować, jeżeli coś pójdzie nie tak – ale nawet najstarsze elfy nie pamiętają, żeby z owej mrocznej krainy mgły i ognia ktokolwiek wrócił.

To znaczy raz się to zdarzyło, podczas ostatniej wojny goblińskiej. Pięć lat temu, w kwietniu. Pamiętasz może Dwunastkę Gruzbiego, nasz elitarny oddział komandosów? Wysłano ich do goblińskiego miasta Tenebrion, aby sporządzili jego mapę. Dziesięciu nawet nie dotarło do murów miejskich (trolle, osuwiska, śliskie grzyby). Dwóch pozostałych pojmano. Owszem, wrócili żywi, ale kompletnie postradali zmysły – nie potrafili opowiedzieć o koszmarach, które widzieli, i to nie tylko dlatego, że obcięto im języki. Wypalono im mózgi. Przesłano ich tu z powrotem przez góry na osłe z łbem na obu końcach. Na dwugłowym osle, który zmagął się sam ze sobą, żeby w ogóle iść w jedną stronę. Zadrwiono z nas.

Nie wiemy, co leży za tymi górami. To również część misji Chwasta – ma nie tylko dostarczyć klejnot, ale też przyjrzeć się gobliniemu miastu i opowiedzieć nam o wszystkim, co tam zobaczy. Będzie pierwszym elfem powitany w tamtejszych murach, mogącym stąpać swobodnie wśród goblińskich hord. Chyba że coś pójdzie nie tak i zwrócą się przeciwko niemu, ma się rozumieć. Są wszak znani z porywczości, entuzjastycznego stosunku do przemocy i wyjątkowego upodobania do tortur.

Powiedziałem mu: „Będziesz jak jeden z owych zakurzonych historyków, których dzieła ciągle czytujesz. Takich, co to wyprawili się do yeti na zmrozoną północ albo do krasnoludów pod ziemię, a potem napisali książkę o tamtejszych zwyczajach”. Ale oczywiście to wcale nie jest takie proste.

Mogę śmiało przyznać, że trochę się martwię o naszego szkolnego kolegę. Niepokoję się o Chwasta. Owszem, Nikczemny go oczekuje – ale czy to na pewno dobrze?

Czy warto być oczekiwanym przez krwiożerczego tyrana?



Mam nadzieję, że kiedy wystrzeliłem naszego starego druha w kapsule, nie posłałem go na śmierć.

Oby nasz podarek i najlepsze życzenia zrobiły na Ghohgu wrażenie. Niestety zabiegamy o pokój z potworem. Goblini ród przyczaił się tam jak tarantula, która tylko czyha, by uderzyć.

Teraz wszystko w rękach Chwastka.

Pozostaję
z przyjaźnią

Izoret Dławisz
Hrabia Lunesse
Zakon Czystej Ręki
Par Królestwa Elfów



wej nocy, zanim magister Brangwin Kąkol został wystrzelony na drugą stronę Gór Kościokrutnych, archiwista Werfel, goblini historyk na dworze Ghohga Potężnego, leżał w łóżku pod pierzynami i nie mógł zasnąć. Przewracał się na jeden bok, przez jakiś czas patrzył w ścianę, a potem obracał się na drugi i patrzył na drzwi sypialni. Jego poduszka była zbyt gorąca, a dłonie ciągle miał zimne.

Myślał o trasie, jaką pokona elfi uczony wystrzelony przy pomocy olbrzymiej balisty z pałacu królewskiego w Dwelholmie. Poleciał nad wonnymi lasami, gdzie elfy mieszkają w domach na drzewach, nad bujnymi łąkami i pastwiskami, nad górskimi zboczami porośniętymi sosną... by w końcu wylądować na płaskowyżu Drume niedaleko murów Tenebrionu, stolicy goblinów.



To będzie męcząca podróż z mnóstwem wstrząsów, nawet jeśli kapsułę wyposażono w sprężyny i poduszki. „Mój biedny gość – pomyślał Werfel. – Mój biedny gość! Będzie wyczerpany. Zgrzany. Potłuczony”.

Werfel miał przyjąć elfiego posła pod swój dach i być jego przewodnikiem po mieście. Oznaczało to olbrzymią odpowiedzialność. Elfy przywykły do pewnych luksusów. Do puchowych materaców i witraży w oknach. „Po tym twardym lądowaniu mój biedny gość będzie koszmarnie sponiewierany” – zamartwiał się archiwista.

Gobliny zaś przestrzegały surowych zasad gościnności. Kiedy goblin zaprosi kogoś do swego domu, ma obowiązek mu służyć i strzec go bez względu na wszystko. Gościnność to rzecz święta.

Werfel usiadł na łóżku. Powinien jeszcze przetrzepać poduszki i uzupełnić miskę z owocami. Zresztą nie miał co liczyć na sen. Za bardzo był podniecony.

Pociągnął za macki na swoim policzku. Skardebek, uroczą oswojona iktioda, przyssała się do twarzy Werfla i wcale nie była zadowolona, że ją obudził. Zaczęła gniewnie fruwać po pokoju, piszcząc na znak protestu.

Werfel włożył okulary, a potem powłókł się do pokoju gościnnego, by starannie go sprawdzić. Wszystko było gotowe. Łóżko posłane. Narzutę, białą niczym śnieg, starannie wywinął już wcześniej. Teraz ponownie przyglądał pościel, choć i tak była gładka, oraz poprawił powitalne czekoladki na poduszce.

„Czy elfy lubią czekoladę?” – zastanawiał się.

A kto nie lubi?

Chyba że mają na nią alergię, jak trolle albo psy. Może kiedy już Werfel spotka się ze swym gościem, zapyta o to dyskretnie, a potem

w razie czego wślizgnie się po czekoladki, gdyby miały się okazać problemem.

Żeby gość poczuł się jak u siebie w domu, Werfel porozwieszał na ścianach swą niewielką kolekcję elfiej sztuki: stare szkarłatno-złote malunki przedstawiające zakochane pary puszczające gołębicę w ogrodach, polujące po lasach i grające dziarskie melodie na cytrach.

Dzień wcześniej wysłał kilkoro dzieci z sąsiedztwa, żeby nazbierały kwiatów do bukietu na szafkę nocną. Płaskowyz Drume co prawda w kwiaty nie obfitował, bo hulały tam wichry gorące i mroźne, niosące nieraz wulkaniczne wyziewy, dzieci znalazły jednak trochę jaśkrów i skalnicy. Werfel nie znał się nic a nic na układaniu bukietów, miał jednak nadzieję, że garść polnych kwiatów włożonych do ceramicznego wazonu, z dodatkiem kilku gałązek suszonej ogrzygałki dla kontrastu, wygląda zarazem prosto i atrakcyjnie.

W swojej lodowni zgromadził dużo mięs i warzyw. Miał też świeżą beczkę ryżu i kilka słoików makaronu. Co jedzą elfy? Właściwie nie miał pojęcia. Zapewne same wykwintne smakołyki: steki z motyli i sałatki z aksamitków.

To nieprawda – dobrze o tym wiedział. Zacisnął powieki, by się uspokoić. Podczas ostatnich wojen z elfami obie strony często rabowały sobie nawzajem zapasy żywności. Obie podpalały pola wroga i wykradały bydło przez górskie przełęcze.

Skardebek niecierpliwie zabębniła w szybę. Teraz, gdy się już obudziła, była głodna. Werfel uchylił okno i wypuścił ją na dwór. Poleciała na dziedziniec, by szukać pleśni w kompoście. Widział, jak buszuje w śmieciach sąsiada, z rozkoszą obcałowując zgniłą do czerności kolbę kukurydzy.

Nad nierównymi dachami i krzywymi kominami miasta świtało. Gobliński historyk uznał, że właściwie może się ubrać. Poszedł do



łazienki, gdzie natarł się środkami odkażającymi i wyszorował skórę pumeksem. Kiedy był już czysty, poczłapał do sypialni, by wyciągnąć z szafy swą najlepszą akademicką szatę.

Nie mógł się doczekać spotkania z magistrem Kąkołem. Z podniecenia aż go mdliło. Nareszcie: kontakt z wrogiem. Z innym uczonym. Z kimś, kto kochał rzeczy stare i piękne i tak jak Werfel wciąż wierzył, że jeszcze jest nadzieja dla udręczonego świata.

Tyle pytań chciał mu zadać Werfel, tyle rzeczy chciał mu pokazać. Pragnął zapoznać elfa ze wszystkimi cudami goblinińskiej cywilizacji: Jaskiniami Nawtelskimi, tańcami Drowegów, iluminowanymi księgami z Epoki Połkniętego Cesarza i chórami wyśpiewującymi Lekcje Cienia, czyli pradawne melancholijne goblinińskie eposy wykonywane przy akompaniamencie lutni.

Marzył nawet o tym, że elfi historyk zaprosi go do białego pałacu Dwelholmu. Werfel ujrzałby wtedy bujne pola, strzeliste lasy, a przede wszystkim okryte sławą biblioteki pełne tomów, których nikt w Tenebrionie nie czytał, ani nawet nie słyszał ich tytułów. Czesząc dywany, tak by frędzle leżały na płask, archiwista wyobrażał sobie dzieła historyczne, jakie można by napisać dzięki połączeniu elfiej i gobliniej wiedzy.

Kiedy tak sprzątał i oporządkował dom, miał nadzieję, że podróż jego elfiego gościa przebiega pomyślnie i komfortowo.

